

7. OŚWIADCZENIE RZĄDU NIEMIECKIEGO I RZĄDU ZSRR  
Z 28 WRZEŚNIA 1939 R.

Moskwa 28 września 1939 r.

Rząd niemiecki i rząd ZSRR, po uregulowaniu w podpisanym dzisiaj układzie spraw wynikłych z upadku państwa polskiego i stworzeniu w ten sposób bezpiecznego fundamentu dla trwałego pokoju w Europie Wschodniej, dają jednomyślnie wyraz przekonaniu, że prawdziwym interesom wszystkich narodów odpowiadałoby zakończenie istniejącego obecnie stanu wojny między Niemcami z jednej strony a Anglią i Francją z drugiej strony. Dlatego obydwa rządy, ewentualnie w porozumieniu z innymi zaprzyjaźnionymi państwami, skierują wspólne wysiłki, aby cel ten możliwie najszybciej osiągnąć.

Gdyby jednak starania obu rządów pozostały bezskuteczne, to tym sposobem potwierdzony zostanie fakt, iż za kontynuowanie wojny odpowiedzialne są Anglia i Francja, przy czym w razie dalszego trwania wojny rządy Niemiec i ZSRR będą się nawzajem konsultowały o niezbędnych krokach<sup>11</sup>.

Za rząd niemiecki  
v. Ribbentrop

Z upoważnienia rządu ZSRR  
W. Mołotow

DNIA PIERWSZEGO WRZEŚNIA...

Projekcja wspomnień z okresu dzieciństwa po latach z reguły wyolbrzymia wydarzenia przyjemne, nie spełnione marzenia zamienia w rzeczywistość, pomijając, a w najlepszym razie deformując i dopasowując minioną, szarą rzeczywistość do swych dzisiejszych wyobrażeń. Jest to zjawisko normalne i dość powszechne, ponieważ nikt nie lubi wspominać swoich porażek, potknięć i różnych niepowodzeń. We wspomnieniach znajdują ponadto ujście przede wszystkim tęsknoty za minioną bezpowrotnie młodością.

Zupełnie inne marzenia i tęsknoty stały się udziałem mojego pokolenia, które w okres wojny wkroczyło mając 13-14 lat. Wbrew prawom natury zostało ono brutalnie okrojone z dzieciństwa i nagle, z dnia na dzień, wtłoczone w świat dorosłych w jego najokrutniejszej postaci. Następnie przeszło ono przyspieszony kurs edukacji politycznej i życiowej oraz poddane zostało twardemu egzaminowi praktycznemu ze współzycia społecznego, patriotyzmu i poświęcenia dla Ojczyzny. Nie wszyscy zdali ten egzamin pomyślnie.

Te okoliczności spowodowały, iż moje wspomnienia z tamtego okresu są bardzo „dorosłe”, pozbawione barwnych upiększeń. Za to zapisały się one tak głęboko w mojej korze mózgowej jak na taśmie magnetycznej, że mają dzisiaj wartość nieomal dokumentu. Wywarły one trwałe piętno na mojej osobowości i charakterze. Cezurę dzielącą okres dzie-

<sup>11</sup> Oświadczenie to zostało przekazane prasie. tekst w języku niemieckim zamieszczony jest w ADAP, Bd. VIII, ss. 129-130.



ciństwa od przyspieszonej dorosłości, stanowi dla mnie dzień 1 września 1939 r.

Tamte czasy przeżywałem w Wielkopolsce, ściślej w Rawiczu, na zachodnich rubieżach Polski, tuż przy samej granicy z Niemcami. odległej od miasta zaledwie o 2-3 km. Granicą otaczała miasto z dwóch stron i przecinały ją dwa przejścia graniczne: południowe na Wrocław (Breslau) i zachodnie na Górę Śl. (Guhrau). Takie położenie geograficzne spowodowało, iż to niewielkie miasto powiatowe przekształciło się w solidną twierdzę z nieźle uzbrojonym garnizonem. Składały się nań jednostki 55 p.p., Korpus Kadetów Nr 2, a ponadto oddziały Straży Granicznej, Policji Państwowej i Służby Więziennej. Dawało to pewien komfort psychiczny, zapewniający spokój i względne bezpieczeństwo wobec ewentualnego zagrożenia ze strony Niemiec.

Mieszkaliśmy na południowym krańcu miasta, na jego peryferiach, które do eleganckich nie należały i zamieszkałe były głównie przez biedotę, przeważnie bezrobotnych i robotników sezonowych. Było tam też sporo gospodarstw rolnych, w większości należących do Niemców. Był to więc nędzny pejzaż półwiejski, o niskim stopniu urbanizacji. Takie ulice jak: Długa, Glinki, Południowa, Półwiejska były brukowane „kocimi łbami” lub wręcz bez żadnej nawierzchni twardej. Oczywiście brak było także wodociągów i kanalizacji i tylko nieliczne budynki były zelektryfikowane. Ta część miasta miała wszakże jedną zaletę — dużo wolnej przestrzeni i świeżego powietrza. Przed nami aż do samej granicy rozciągała się już tylko gładka równina pól zwieńczonych lasem, przez który przebiegała granica. Stąd widoczny był punkt graniczny Dębno Polskie położony przy szosie Rawicz-Wrocław (63 km). Te walory topograficzne spowodowały w ostatniej fazie przygotowań do wojny, przekształcenie tej części miasta w ważny punkt strategiczny.

Z narastającym podnieceniem obserwowaliśmy nadciągające od zachodu coraz groźniejsze chmury zapowiadające niebezpieczną burzę. Byliśmy też coraz częściej świadkami różnych działań przygotowujących społeczeństwo do przyszłej wojny. Wzrastały nastroje patriotyczne i solidarność — łącząc wszystkie warstwy społeczne wokół nadrzędnego celu, jakim była troska o los Ojczyzny. Wszystkie apele o pomoc spotykały się z natychmiastowym odzewem. Już na wiosnę 1939 r. matki zapraszane do szkół wieczorami szyły tampony, mające chronić ludność cywilną na wypadek ataku gazowego. Nie wykluczano bowiem i takiej możliwości.

Pośpiesznie dozbrajano także armię m.in. na drodze dobrowolnych ofiar społeczeństwa na Fundusz Obrony Narodowej. W tej akcji uczestniczyła także młodzież szkolna, z ofiar której zakupiono następnie broń maszynową. Uroczyste jej przekazanie odbyło się z wielką pompą na miejskim stadionie.

Nie odstawała też propaganda wizualna. Wszędzie pełno było różnych haseł i plakatów wzmacniających samopoczucie i ducha narodu. Temu również celowi miała służyć stylizowana makieta bomby lotniczej, która ustawiono w Rynku, naprzeciwko Komunalnej Kasy Oszczędności. Czub bomby wbito w ziemię, natomiast na górze zamontowano oszkloną i oświetloną gablotę z jakimś okolicznościowym hasłem. Po wkroczeniu do Polski, hitlerowcy cynicznie wykorzystali gablotę w duchu propagandy goebbelsowskiej i polskie hasło zastąpili swoim, dość perfidnym i prze-



wrotnym: *Davor bewahrte Euch der Fuehrer Adolf Hitler* („Przed tym uchronił was *Fuehrer Adolf Hitler*”). „Bomba” stała tam przez całą okupację.

Jak już wspomniałem, nasze przedmieście uzyskało znaczne walory strategiczne i w sierpniu, kiedy nasze stosunki z Niemcami pogorszyły się do granic zerwania, nasze podwórze uzyskało status wysuniętego stanowiska obrony. W murze okalającym podwórze od strony granicy wybito podłużne otwory i zainstalowano w nich dwa działka przeciwpancerne, które oczywiście zamaskowano gałęziami. Było to dla nas wydarzenie o dużym znaczeniu. Wojsko, a przede wszystkim działka przyciągały dzieciarnię z całej okolicy. To wydarzenie znacznie ożywiło nasze monotonne dotychczas wakacje, które na ogół spędzaliśmy w domu. Teraz można było z bliska obejrzeć działka, pokreślić lufą, popatrzeć w dalmierz. Żołnierze przymykali oko na nasze wyczyły, sami bardziej interesowali się flirtami z miejscowymi pannami i „słomianymi wdówkami”, których nie brakowało, ponieważ już kilka tygodni wcześniej zmobilizowano część rezerwistów do batalionów Obrony Narodowej. Nastrój był beztroski, pogoda wspaniała i żal wywoływała myśl, iż już niedługo wakacje się skończą i trzeba będzie znów wrócić do szkoły. Nikomu nawet do głowy nie przyszło, że w poniedziałek — 4 września — mimo wszystko — może nie być inauguracji nowego roku szkolnego. Do ostatniej chwili nie brano zbyt poważnie możliwości wybuchu wojny. Nas, wyrostków absorbowały same przygotowania do wojny i to nam zupełnie wystarczyło. Poza tym wojna była dla nas pojęciem abstrakcyjnym, znaliśmy ją dotychczas tylko z lekcji historii oraz opowiadań rodziców i dziadków. W skrytości ducha trochę im tego zazdrościliśmy, marząc po cichu, aby także przeżyć wreszcie jakąś wojenną przygodę i wyróżnić się jakimś bohaterskim czynem. Klęski oczywiście nie braliśmy pod uwagę. Byłoby to sprzeczne z naszymi postawami, pracowicie kształtowanymi zarówno przez szkołę, jak i Kościół. Dużą wagę przywiązywano do wychowania politycznego, szczególnie też czią otaczano wojsko, gdyż ciągle świeże jeszcze były tradycje walk powstańczych i legionowych, i w świadomości żywy ciągle był kult Marszałka. Popularne też były w szkole pieśni żołnierskie i jeszcze krótko przed wojną (chyba po objęciu funkcji Naczelnego Wodza przez Marszałka Rydza-Śmigłego) popularna stała się piosenka, której nauczono nas przez radio:

My wszystkie dzieci, małe i duże,  
Od pierwszej klasy już wiemy,  
Ze brat nasz, żołnierz w szarym mundurze,  
Ojczyste bronni ziemi.

Kochamy wszyscy naszych żołnierzy,  
Mocno i bardzo szczerze  
I wiemy kogo słuchać należy,  
Kiedy się jest już żołnierzem.

I jak tu można było wątpić w siłę naszego żołnierza?

Naszą świadomość podniecał fakt, iż wróg był w zasięgu ręki, a w dodatku — jak głosiła oficjalna propaganda — był on słaby, bez źródeł ropy naftowej i wyposażony w czołgi z dykty. Takie argumenty padały także z ust naszych nauczycieli w szkole jeszcze przed wakacjami. Liczne pla-



katy w mieście krzyczały zaś, że jesteśmy, „silni, zwarci i gotowi” i to napawało nas dumą. Młodzieńcza naiwność i bezkrytyczna wiara w głoszone hasła, już w najbliższej przyszłości omal nie skończyłyby się dla mnie tragicznie.

W Rawiczu zamieszkiwała przed wojną spora mniejszość niemiecka. Byli to na ogół zamożni gospodarze oraz kupcy, rzemieślnicy, właściciele restauracji, a nawet fabrykanci. Tylko w rejonie mojego zamieszkania gospodarstwa rolne posiadali: Karl Heinze, Otto Pulst, Heinrich Knappe, Oskar Fritsch, Meta Grossert, Otto Kleiber, Hermann Stiller, Anna Paul, Oskar Wittke, Robert Meissner, Richard Schröder, Hermann Bauch, Walter Bauch, Erwin Bauch, Engel, Berger i in. Rzeźnictwo prowadzili: Max Fritsch, Erich Sprotte, Hermann Pätzoldt, Otto Willner, Schubert, Scholz. Ponadto duża fabryka-odlewnia żeliwa należała do Niemca Linza, fabrykę skór posiadał Ecke, fabrykę fortepianów Eckert, fabrykę mebli Otto Zinker i fabrykę biczów Diekert. Poza tym do Niemców należało szereg sklepów kolonialnych, piekarniczych, cukierniczych, składów żelaza itp. Nawet proboszczem miejscowej parafii rzym.-kat. był Niemiec — ks. Gumprecht. Już z tego pobieżnego wyliczenia widać jak znaczne wpływy posiadała niemiecka mniejszość w tym regionie. Stan taki trwał od dziesięcioleci i obie strony tolerowały się wzajemnie, choć mniejszość niemiecka była dość hermetyczna i przez cały czas zachowywała swoją odrębność. Mieli w mieście swój kościół ewangelicki (obecnie rzym.-kat. p.w. św. Andrzeja Boboli), piękny cmentarz, a nawet własną szkołę oraz klasę niemiecką w polskiej szkole powszechnej nr 3. Starsze pokolenie posługiwało się tylko językiem niemieckim, natomiast ich dzieci znały dość dobrze język polski.

Rosnące napięcie w stosunkach polsko-niemieckich, od wiosny 1939 r. nie mogło nie odbić się na zachwianiu zaufania i wzroście nieufności, a nawet podejrzliwości wobec naszych niemieckich sąsiadów. W takiej atmosferze nietrudno było o błędy i nieuzasadnione podejrzewania, zwłaszcza w środowisku młodzieży, która ze swej natury jest bardzo podejrzliwa i podatna na efektowne hasła propagandowe, których wówczas nie brakowało. Nic więc dziwnego, że podejrzewania dotyczące antypolskiej działalności nie ominęły nawet naszego nauczyciela geografii — Józefa Scherwentkego. Zrodziły się one z faktu, iż przyszedł on do naszej szkoły na krótko przed początkiem kryzysu w stosunkach polsko-niemieckich i z tego powodu nie był nam bliżej znany. Z charakteru był typem introwertyka, zamknięty w sobie, na lekcjach bardzo surowy, nigdy nie żartował i budził swoją groźną miną posłuch, a nawet strach. W odróżnieniu od innych nauczycieli, jak np. nasz wychowawca — Karol Konkol nigdy nie poruszał na swoich lekcjach spraw zbliżającej się wojny z Niemcami i nazywał się tak dziwnie, co w sumie kojarzyło nam się z najgorszymi czynami do jakich mógł być zdolny. Jednym słowem — wtyczka Niemców. Dopiero po wojnie okazało się jak bardzo się myliliśmy. Był to wielki patriota, działacz Związku Zachodniego, ukrywający swoją działalność pod maską surowości. Do najnowszej historii przeszedł jako człowiek, który 1 września 1939 r. otworzył bramy słynnego więzienia w Rawiczu i wypuścił przebywających tam więźniów politycznych, wśród których był m.in. Marian Buczek. Za ten czyn, hitlerowcy, po wkroczeniu schwytali go i zamordowali. Dziś jedna z ulic w Rawiczu



nasi jego imię, a my wstydzimy się ówczesnych, niesprawiedliwych podejrzeń.

Histeria wojenna narastała w miarę zgłaszania przez Hitlera coraz to nowych żądań pod adresem Polski. Pobudzało to oczywiście w jakimś stopniu i nastroje nacjonalistyczne, zwłaszcza wśród moich rówieśników. Nie wąpiliśmy, iż jeśli dojdzie do starcia, to pokażemy Hitlerowi gdzie raki zimują. Z dumą demonstrowaliśmy takie postawy wobec „naszych” Niemców, którzy coraz bardziej tracili pewność siebie i nie ukrywali swego niepokoju.

Wśród miejscowej biedoty główną podstawę utrzymania stanowiły wstedy kozy, których hodowla w tym środowisku była powszechna. Dostarczały one mleka oraz mięsa, a pasza znajdowała się na polach, miedzach i rowach. W czasie wakacji dzieciarnia wypasała nimi puste ścierniska, co dawało okazję do różnych zabaw i wygłupów przy ogniskach, w których piekliśmy ziemniaki (pyrki). Tak też było w czasie tych ostatnich wakacji. Ognisko sprowadziło pewnego dnia znanego nam Niemca, bliskiego sąsiada — Hansa Pulsta. Był on starszy od nas, około osiemnastoletni, jednak z uwagi na upośledzenie umysłowe traktowaliśmy go jak rówieśnika. Kaleczył on mocno język polski, jednak można się było z nim dość łatwo porozumieć. Jego obecność wykorzystaliśmy, aby mu powtórzyć argumenty naszej propagandy i to wszystko, co słyszeliśmy w szkole na temat Hitlera i ewentualnej wojny z nami. W tej werbalnej napaści, niestety należałem do aktywniejszych, co mogło się dla mnie źle skończyć.

Po wkroczeniu Niemców do Rawicza, Hans Pulst spotkał mnie na ulicy i przypominając incydent przy ognisku, i wygłoszone tam epitety pod adresem Hitlera, zagroził, że zgłosi to do *Gestapo*. Instytucja ta od samego początku zdobyła sobie ponurą sławę wśród ludności polskiej, stąd groźby nie mogłem bagatelizować. Nie wiem co mu w tym przeszkodziło, ja jednak, wykorzystując jego niedorozwój umysłowy próbowałem przekonać go, że się pomylił, byłem jednak przerażony i od tego czasu omijałem go z daleka, aby pomóc mu zapomnieć o mnie. Taki donos oznaczał tylko śmierć, tak jak to spotkało mego rówieśnika i kolegę Adama Szumkowiaka aresztowanego wraz z ojcem za wypowiedzi antyniemieckie.

Z ulgą przyjąłem wiadomość o powołaniu Hansa Pulsta do *Wehrmachtu* (tacy niezupełnie normalni też byli potrzebni na mięso armatnie). Został skierowany na front wschodni, którego wszyscy Niemcy najbardziej się bali. Tam też, po jakimś czasie zginął *für Führer, Volk und Vaterland*, z czego, nie wstydzę się tego przyznać, bardzo się ucieszyłem. Trudno, to była wojna, śmierć jednych przynosiła satysfakcję innym.

Wybiegłem nieco w przyszłość, aby wykazać ścisły związek między poszczególnymi wydarzeniami z przeszłości i ich konsekwencjami w przyszłości.

Na razie wszystko jeszcze było przed nami. Ciemne chmury zapowiadające wojenną burzę nie dotarły jeszcze do nas ani w przerośni, ani dosłownie. Lato było upalne i pogodne. Wakacje były wyjątkowo urozmaicone. Zbliżający się szybko nowy rok szkolny nie budził w zaistniałej sytuacji szczególnego entuzjazmu, jednak nikt nie mógł przewidzieć, iż rzeczywiście nie będzie go w tym roku oraz, że zostanie on zawieszony na kilka okrutnych lat. Optymizm i nadzieja dominowały mimo wszystko



do ostatniej chwili. Poczucie zagrożenia i pewne oznaki paniki narastały stopniowo i to dopiero w ostatniej fazie przed katastrofą.

W ostatnich dniach sierpnia na przedpolach miasta, tuż za naszymi obojściami, wojsko przystąpiło do stawiania zasieków z drutu kolczastego, które blokowały wszystkie drogi wychodzące w kierunku granicy. Fakt ten wskazywał, że to już nie są żarty. Tę świadomość jeszcze bardziej pogłębił kolejny fakt. W ostatnią niedzielę sierpnia przystąpiono do kopania okopów na przygranicznych polach w czynie społecznym (tak, tak, czyny społeczne to wcale nie wynalazek PRL-u). Do pracy zgłosili się wszyscy pozostali w mieście mężczyźni, wśród których przeważającą większość stanowili robotnicy. Pozostali to urzędnicy, kupcy i inni przedstawiciele ówczesnej elity. Podziały klasowe obowiązywały jednak nawet i w tych okolicznościach. Wyznaczony odcinek przedzielała droga polna i ona rozdzielała jednocześnie robotników od pozostałych. Było to bardzo dziwne i niezrozumiałe posunięcie organizatorów, ponieważ wszystkich w tym czasie cechował niespotykany później patriotyzm i wola obrony Ojczyzny. Była ona całkowicie szczerą i nie zawierała żadnego sztucznego patosu. Nawet biedota, która w II Rzeczypospolitej cierpiała głód, nędzę i poniżenie, i mogła mieć uzasadnione pretensje do rządów sanacji za to, że Ojczyzna często była dla niej macocha, odrzuciła w takiej chwili na bok wszelkie żale i gremialnie stawiała się na apel władz.

Robotnicy, przywykli do pracy fizycznej, ostro zabrali się do roboty, w odróżnieniu od swych inteligenckich współbraci po drugiej stronie drogi, którym ta praca sprawiała niejaki trudności, co było widać gołym okiem. Łatwo więc można było rozpoznać kto jest kto. Intencje i chęci wszystkich były jednak podobne i to było najważniejsze.

W trakcie pracy przyjechał na koniu pułkownik, pełniący funkcję dowódcy tego odcinka obrony. Po odebraniu meldunku od magistrackiego inżyniera kierującego pracami, rozejrzał się z wysokości swego konia i dostrzegając sprawnie pracującą i tak liczną grupę robotników, rzekł z przekąsem: — „dużo tej hołoty się nabierało”.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom i ze złości omal się nie rozbechałem. Nie mogłem zrozumieć jak on mógł w takiej chwili okazać tyle pogardy dla ludzi, którzy mieli więcej powodów do niezadowolenia, a jednak uznali, że nie czas teraz na spory i przyszli, aby swoją pracą ratować Ojczyznę przed groźnym wrogiem. Być może ów pułkownik nie chciał nikogo obrazić i była to po prostu zwyczajna retoryka ludzi jego pokroju. W tych okolicznościach była to zaiste dziwna retoryka i na pewno nie powinna mieć miejsca.

Szkoda, że nie przywiązują wagi do takich faktów ludzie, którzy z lubością wypominają do dzisiaj pogardliwe epitety używane przez innych ludzi po wojnie pod adresem innych warst. I jedne i drugie są godne potępienia.

Wszystkie te wydarzenia wyraziście wskazywały na to, że są to już ostatnie chwile pokoju. Ciągłe jeszcze nikt z nas nie znał stopnia rzeczywistego zagrożenia, choćby z tej prostej przyczyny, że środki masowego przekazu nie były wówczas tak powszechne, jak dzisiaj. W środowisku biedoty mało kto kupował gazetę, nie mówiąc o posiadaniu radia, na które stać było tylko ludzi zamożnych. Tylko jeden z naszych sąsiadów



(p. Krzywiński) był posiadaczem radia. Wszelkie informacje docierały więc do nas z dużym opóźnieniem i to z reguły w formie plotek. Miało to i swoje dobre strony, ponieważ do ostatniej chwili żyliśmy praktycznie w pełnej nieświadomości, co z drugiej strony, ograniczało powody do niepotrzebnego zdenerwowania.

Nawet „nasi” żołnierze z podwórka nie wiedzieli więcej od nas i do ostatniej chwili pocieszali nas, że wojny nie będzie. Sam fakt ich obecności wśród nas działał także uspokajająco, gdyż wpływał na naszą świadomość, iż nie jesteśmy znowu tacy bezbronni.

W każdym bądź razie tamto upalne lato było zupełnie inne niż wszystkie poprzednie. Wszystko kręciło się wokół wojny i wojska. Zupełnie zanikły jakiegokolwiek inne „cywilne” zainteresowania, na które nie było już czasu. Nawet kino, które było zawsze silnym magnesem dla młodzieży, przestało zupełnie się liczyć. A istniały w tym czasie aż dwa kina w mieście („Promień” i „Bajka”). Dziś ledwo zipped jedno. Bilet do kina kosztował 25 groszy, a dzieciarnię nieraz wpuszczano za niższą opłatą lub nawet za darmo. Trzecie kino znajdowało się w Korpusie Kadetów. Tam też niekiedy można było wejść za darmo. Nie takie sprawy były nam w głowie w tych gorących dniach.

Zaczął się już odliczanie czasu wojny przez Hitlera, nie nasyconego dotychczasowymi łatwymi zwycięstwami w Austrii i Czechosłowacji.

Nadszedł wreszcie ów feralny piątek — 1 września 1939 r. Około 5 o świcie wyrwał nas ze snu jakiś hałas na podwórzu, tupot i bieganina „naszych” żołnierzy, którzy znajdowali się już w pełnym rynsztunku, łącznie z hełmami na głowach. Obie obsady były w komplecie przy swoich działkach, przy których także stały w pogotowiu zdenerwowane konie, które od kilku tygodni nudziły się w pobliskiej stodole. Wszystkim udzielał się nastrój olbrzymiego podniecenia i zdenerwowania. Gdzieś z oddali słychać było pojedyncze i nieregularne strzały karabinowe, nie wiadomo przez kogo oddawane. Natychmiast powyskakiwaliśmy z łóżek i zaczęliśmy czynić przygotowania do ewentualnej ewakuacji. Nikt jednak nadal nie wiedział, że w tym czasie Hitler wydał już rozkaz zaatakowania Polski. Nawet „nasi” żołnierze nadal nas przekonywali, że wojny nie będzie, sądząc, iż mamy do czynienia z jakimś lokalnym incydentem granicznym, który szybko zostanie wyjaśniony. Sami jednak, w widoczny sposób, byli bardzo zdenerwowani i chyba nie wierzyli w to, co mówią.

Zacząły się ujawniać pierwsze objawy paniki. Dzieciarnia wrzeszczała, matki im wtórowały, zwłaszcza te samotne, których mężowie już wcześniej zostali zmobilizowani. Zaczął się wyciąganie wszystkiego, co się ruszało, jak wózki, rowery itp. i ładowanie na nie co nawinęło się pod ręce, często nie tego, co należało. Owczym pędem dołączano do innych i uciekano z miasta bez jakiegoś określonego celu. Byle na wschód. Nikt już nad tym żywiołem nie panował i dopiero wtedy okazało się, iż wcześniejsze instrukcje, przewidujące nawet atak gazowy, takiej sytuacji nie przewidywały. Zresztą, poza wojskiem, żadnych innych sił porządkowych już w mieście nie było. Nawet więzienie pozostawiono własnemu losowi. Pozamykane także były wszystkie sklepy, a część ich właścicieli także uległa panice i opuściła miasto już znacznie wcześniej.

Wycofujące się oddziały wojska zarekwirowały gospodarzom sporo furmanek do taborów i to wraz z obsługą i końmi. To wszystko potęgo-



wało ogólny chaos i powodowało olbrzymi ścisk na drogach. Oczywiście, w tej sytuacji trudno było mówić o jakiejś planowej ewakuacji i uciekinierzy stanowili łatwy cel dla hitlerowskich „rycerzy nieba”, którzy urządzali sobie bezkarne polowania. Duża część uciekinierów doszła aż w rejon Kutna i wpakowała się w sam środek walk nad Bzurą.

Tego jednak na własne oczy nie oglądałem, ponieważ nie pozwolono mi towarzyszyć moim kolegom w tym *exodusie*, chociaż miałem na to wielką ochotę. Niestety, ojciec, doświadczony weteran z okresu I wojny światowej, uznał — później okazało się, że miał rację — iż nie należy ulegać panice i najbezpieczniej jest szukać schronienia na miejscu. Koledzy moi zresztą dość szybko wrócili do domu i tylko nielicznym udało się uciec dalej.

Miejscowi Niemcy z rosnącą nadzieją oczekiwali na dalszy rozwój wydarzeń, chociaż i ich nie opuszczał niepokój. Wiedzieli przecież co dotychczas mieli, a nie wiedzieli co ich czeka. Hitlera przecież także bliżej nie znali. Na razie jednak ciągle brak było jakichkolwiek konkretnych rozstrzygnięć.

Około godz. 10 z radia przez otwarte okno u pp. Krzywińskich po raz pierwszy usłyszeliśmy głos Hitlera, który swoim charakterystycznym wrzaskiem przemawiał na jakimś zgromadzeniu i oficjalnie potwierdził wybuch wojny z Polską.

Teraz już nie było żadnych wątpliwości i z niepokojem oczekiwaliśmy na dalszy ciąg wydarzeń. Niestety, dalsze wydarzenia nie były dla nas pocieszające. Około południa „nasi” żołnierze otrzymali, ku naszej rozpaczy, rozkaz natychmiastowego wycofania się z zajmowanych pozycji i uczynili to w takim pośpiechu, iż nie zdążyli się nawet z nami pożegnać. Zaprzężone do działek konie, galopem przebiegły przez miasto, wycofując się w kierunku wschodnim. Już nigdy więcej ich nie zobaczyliśmy i fakt ten mocno nadszarpnął nasze morale. Nie mogłem zrozumieć dlaczego tak się stało. Przecież nikt ich nie zaatakował, a mieli przecież nas bronić. Co teraz z nami będzie? Pozbawieni teraz jakiegokolwiek nadziei, załamani, czekaliśmy na dalszy rozwój wydarzeń.

Po południu kręcili się jeszcze w pobliżu jacyś nie znani nam dotychczas żołnierze. Okazało się, że byli to saperzy, którzy, zamykając cofającą się obronę minowali wszystkie drogi prowadzące do miasta od strony granicy. Każda droga została zaminowana minami talerzowymi, połączonymi po kilka sztuk w poprzek drogi i odpowiednio zamaskowanymi. W tym samym czasie wysadzono także tory kolejowe na głównej magistrali Poznań—Wrocław. Pogięte i sterczące do góry szyny z daleka sprawiały niesamowite wrażenie i intrygowały mnie, nęcąc, aby podejść bliżej. W następnych dniach podjąłem taką próbę, zakończoną nieomal tragicznie. Nie znając zamaskowanych miejsc, w których znajdowały się miny, w odległości zaledwie kilku kroków, w ostatniej chwili zostałem krzykiem ostrzeżony przez wracającego z pola gospodarza, n.b. Niemca, który w ten sposób uratował mi życie. Nie po raz pierwszy w tej wojnie okazało się, że śmierć nie jest jeszcze mi przeznaczona.

Saperzy, po wykonaniu swego zadania, również się wycofali i od tego czasu zostaliśmy już zupełnie sami.

Nastąpiła teraz denerwująca cisza. Kto uległ w ciągu dnia panice,



ten już opuścił miasto, a pozostali siedzieli w swoich domostwach, czekając na zmiłowanie boskie.

Niemcy nadal nie tęsknili za nami i nawet się dziwiliśmy, że mimo tak bliskiej odległości i wycofania się polskiej obrony, nie odważyli się zająć miasta.

Najbardziej dręczyła nas niepewność i brak jakichkolwiek wiadomości. Rodziły się różne spekulacje na temat pomocy, jakiej nam na pewno udzielią sojusznicy. Oczekiwaliśmy na zaatakowanie Niemców znad linii *Maginota* przez Francuzów, a na Bałtyku przez flotę brytyjską.

Tak minął pierwszy dzień wojny, której praktycznie, mimo bliskości granicy, jeszcze nie widzieliśmy. Przyznam, że byłem mocno rozczarowany takim obrotem sprawy. Męczyła mnie moja bezsilność, chciałem coś zrobić, aby zmienić tę sytuację, lecz nie ode mnie zależał nasz los. Pierwsza wojenna noc także nie przyniosła żadnych zmian. Nie mogłem już doczekać świtu i kiedy zerwałem się wcześniej niż zwykle, nad polami snuły się jeszcze cieniutkie opary mgły, zwiastujące znowu piękną pogodę. Faktycznie, kiedy pokazało się słońce, szybko zniknęły pozostałości nocy i już wczesnym przedpołudniem znów było upalnie.

Noc jednak ukoili nasze nerwy i wstaliśmy z nowymi siłami i większym optymizmem, mocno zachwianym wydarzeniami poprzedniego dnia. Nadal panowała głucha cisza. Przed południem ktoś przyniósł z miasta wreszcie jakąś konkretną, choć niezbyt pomyślną wiadomość, że o godz. 13. do miasta mają wkroczyć wojska niemieckie. Wiadomość wywołała podniecenie i niepokój, a z drugiej strony radość wśród miejscowych Niemców. Nie mogłem oczywiście pominąć takiego wydarzenia i już przed wyznaczoną godziną udałem się na rynek, stanowiący centrum miasta, z barokowym ratuszem pośrodku. Zbierali się tam już uradowani miejscowi Niemcy — późniejsi *Volksdeutsche* — z kwiatami, owocami i innymi wiktuałami. Wszysey bowiem wiedzieli, że w Niemczech jeszcze przed wybuchem wojny żywność była na kartki. Często w mieście spotykało się niemieckich kolejarzy czyniących w Polsce zakupy, głównie masła i wędlin. Nikt im żadnych trudności z tego powodu nie czynił.

Około godz. 13, zgodnie z zapowiedzią (jakim kanałem się to odbyło?) od strony ul. Paderewskiego (dzisiaj Wojska Polskiego) pojawiła się kompania ciężko przestraszonych żołnierzy *Wehrmachtu*, którzy chyba obawiali się zasadzki, ponieważ nikt im od samej granicy nie przeszkadzał. Żołnierze prawdopodobnie zostali powołani do wojska z rezerwy, gdyż nie należeli do najmłodszych. Podejrzliwie rozglądali się na wszystkie strony i karabiny trzymali w rękach gotowe do strzału. Po wejściu na rynek ustawili się pod ratuszem, a na czterech narożnikach wystawili ubezpieczenie w postaci ckm-ów. Dziwne wrażenie sprawiały ich zupełnie inne mundury, oglądałem więc ich z ciekawością bez żadnych przeszkód, ponieważ na takich wyrostków nikt z Niemców nie zwracał uwagi.

Niemki wycalowały swoich żołnierzy i obdarowały ich przygotowanymi wcześniej kwiatami i wiktuałami. Po tym spontanicznym powitaniu głos zabrał Hermann Schumann, właściciel sklepu z artykułami żelaznymi przy ul. Paderewskiego. Okazało się, iż był on utajonym hitlerowcem. Po oficjalnym powitaniu *Wehrmachtu*, zaczął rzucać obelgi pod adresem Polaków. Zarządził następnie, aby oddzielnie ustawili się zebrani na Rynku Niemcy i oddzielnie Polacy. Wywołało to panikę wśród nielicznych



dorosłych gapiów spośród moich rodaków, którzy chyłkiem umykali bocznymi ulicami do domów. Szybko się okazało, iż część niemieckiej mniejszości uległa fascynacji Hitlerem i niewdzięcznością odplaciła swoim dotychczasowym polskim gospodarzom, którzy traktowali ich jak pełnoprawnych obywateli. W takich przełomowych chwilach zawsze jednak znajdują się ludzie nadgorliwi, poddający się emocjom, których później muszą się wstydzić, a niekiedy nawet drogo zapłacić za nie. Tę prawdę poznali też wkrótce i „nasi” *Volksdeutsche*. Na razie była euforia i radość. Dumnie spoglądali na wciągniętą na wieży ratusza dużą flagę hitlerowską. Zastanawiające było, jak widok swastyki potrafi nagle odmienić tych spokojnych dotychczas Niemców, którzy teraz stali się zupełnie innymi ludźmi. Na nas zaczęli spoglądać z wyraźną wyższością, a nawet pogardą. Ideologia hitlerowska przyciągała ich jak ćmy do ognia, sami jednak nie zdawali sobie chyba sprawy z tego, że skończy się to dla nich katastrofą.

W nastroju zwycięskim udali się następnie na obiad, po którym nagle zelektryzowała mieszkańców niespodziewana wieść, że miasto zostanie wieczorem zbombardowane przez Polaków.

Wiadomość wywołała niesamowitą panikę wśród miejscowych Niemców, którzy szybko zapomnieli o niedawnej euforii. W popłochu zabierali podręczny dobytek i — ku naszej radości — porzucali swoje gospodarstwa i domostwa i najkrótszą drogą umykali do *Reichu*. Na złodzieju czapka gore!

W mieście pozostała tylko kompania *Wehrmachtu*, która zakwaterowała się w budynku Państwowego Gimnazjum i przyległej do niego mleczarni.

Ciesząc się z takiego rozwoju sytuacji, nie byliśmy pewni na ile wiadomość o zamiarze zbombardowania miasta jest prawdopodobna. Na wszelki wypadek wieczorem wraz z pozostałymi sąsiadami przenieśliśmy się do opuszczonego gospodarstwa Niemca Oskara Fritscha, który pod stodołą miał piwnicę, mogącą służyć za schron przeciwlotniczy i tam postanowiliśmy przeczekać ewentualne bombardowanie. Bombardowania, na szczęście nie doczekaliśmy się, natomiast zdarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Bardzo późnym wieczorem nagle z głębi miasta rozległy się salwy armatnie i gwałtowne strzały z broni maszynowej i karabinów. Towarzyszyły temu głośne okrzyki Hurrraaa! W ciszy nocnej, głos rozchodził się donośnie. Wszystko to trwało krótko, po czym nastąpiła cisza.

Następnego dnia — była to już niedziela 3 września — po Niemcach ani śladu. Okazało się, że w nocy do miasta wrócił niewielki oddział naszych żołnierzy i zaatakował kompanię *Wehrmachtu*, celowo robiąc dużo hałasu. Salwy armatnie prawdopodobnie pochodziły z „naszych” działek z podwórka, których strzały wywołały popłoch wśród Niemców, którzy dodatkowo przerażeni głośnymi okrzykami, sprawiającymi wrażenie wyolbrzymiające faktyczne siły, uciekli w panice za granicę. Nasi żołnierze, po wykonaniu zadania, także wycofali się z miasta.

I znów zaistniała sytuacja z 1 września — prawdziwa *drôle de guerre* — jak mówią Francuzi. Powstała dziwna sytuacja — Polacy wycofali się z miasta, a Niemcy nie kwapili się do ponownego wejścia. Nie powrócili także cywilni uciekinierzy niemieccy. Po raz pierwszy więc byliśmy w mieście sami.



W trudnej sytuacji znalazły się opuszczone przez Niemców gospodarstwa. Inwentarz żywy domagał się pożywienia, krowy nie dojrzałe ryczały przeraźliwie, głodne psy ujadły. Kto mógł i potrafił zajmował się nimi, wykonując czynności najniezbędniejsze. Nikomu wtedy nie brakowało mleka. Gorzej było z pieczywem, zaczęło także brakować soli i nafty, sklepy przecież nadal nie były czynne.

W tej sytuacji warstwy mieszczańskie powołały Komitet Obywatelski, na czele którego stanął p. Jaskowski — właściciel roszarni lnu i konopii. Głównym i najpilniejszym jego zadaniem było zorganizowanie wyżywienia pozostałej w mieście ludności polskiej. Natychmiast uruchomiono kuchnię w miejscowym więzieniu, którego bramy, po raz pierwszy były szeroko otwarte. Wydawano tam bezpłatne obiady na wynos, bez żadnych ograniczeń. Zapewniały one przynajmniej jeden gorący posiłek dziennie.

Tak upłynęła niedziela, poniedziałek i wtorek, a sytuacja nie ulegała żadnej zmianie. Żadnych wiadomości z frontu nie otrzymywaliśmy i nie wiedzieliśmy, że Niemcy w tym czasie wdarli się już w głąb kraju. O tym jednak dowiedzieliśmy się dopiero po zakończeniu działań wojennych. Była to sytuacja nie do zniesienia. Męczyła nie tyle bezczynność, co całkowita nieświadomość i odcięcie od świata. Dzieciarnia z nudów szukała sobie zajęć, często nie zdając sobie sprawy z ich niebezpieczeństwa. Próbowaliśmy np. rzucając kamieniami wysadzić miny na drodze. Jak groźna to była zabawa przekonaliśmy się niebawem, kiedy zobaczyliśmy ofiarę wybuchu min p. Werno, mieszkańca zabudowania poza miastem. Znając miejsce zaminowane na przyległej do jego zabudowań drodze, wybrał się rowerem do rodziny swego brata w mieście, aby ostrzec ją przed tym. Wracając do domu sam najechał na miny i wyleciał w powietrze. Rozszarpane ciało było dla nas ostatecznym ostrzeżeniem.

Dopiero w nocy z wtorku na środek — 6 września do miasta wkroczyły duże zmotoryzowane jednostki *Wehrmachtu*, które zapełniły cały rynek. Pojazdy budziły naszą ciekawość, ponieważ nigdy dotychczas nie widzieliśmy takiej ilości sprzętu wojennego. Żołnierze hitlerowscy z dumnymi minami zwycięzców z pogardą i germańską butą spoglądali na nas i wspaniałomyślnie rzucali nam z samochodów chleb wojskowy, za którym, szczerze mówiąc, już się trochę stęskniliśmy. Początkowo wzdragał się przed przyjmowaniem jałmużny od wroga, ale żołądek wreszcie przeważał.

Nikt z nas wtedy nie przypuszczał, że oto jesteśmy świadkami przełomowego momentu w naszej najnowszej historii, że stoimy u progu ponurej nocy okupacyjnej, która potrwa blisko 5,5 lat i pochłonie ponad 6 milionów istnień ludzkich spośród naszych rodaków. W samym Rawiczu, w miejscowym więzieniu życie straciło również ponad 600 zakładników aresztowanych w pierwszych godzinach okupacji oraz więźniów.

Tak zaczął się dla mnie pierwszy dzień okupacji hitlerowskiej.

Ostatni jej dzień był znacznie bardziej dramatyczny, ale to wszystko było dopiero przede mną.

JÓZEF MAZUR



# NASZE WYDAWNICTWA

JERZY KOZEŃSKI

## CZECHOSŁOWACKA JESIEŃ 1938

ark. wyd. 10,5, nakład 4000, cena 1200,-

Książka jest pozostałością dawniejszego, wielkiego planu naukowego podjętego w Instytucie Zachodnim, przewidującego trzydziestoletni cykl monograficzny o polityce III Rzeszy wobec Czechosłowacji w latach 1938 - 1945. Zgodnie z owym planem tom pierwszy cyklu nosił tytuł **Taktyka hitlerowska w podboju Czechosłowacji**, tom drugi **W Protektoracie Czech i Moraw**, zaś tom trzeci **Niemcy a Słowacja 1939 - 1945**.

Z zaplanowanej serii ukończono do roku 1971 jedynie tom pierwszy, który nie został wówczas opublikowany. Powrót obecnie do tematu wydawał się celowy ze względu choćby na rocznicę dramatycznych wydarzeń z roku 1938.

Prezentowana praca zawiera opis stosunków niemiecko-czechosłowackich w dwudziestolecie międzywojennym, problem aneksji czeskiego pogranicza i opozycji niemieckiej w roku 1938.

Uzupełnieniem pięciu rozdziałów książki jest obszerny rozdział zatytułowany **Historiografia** oraz indeks osobowy.

### DO NABYCIA:

- w księgarniach naukowych Domu Książki,
- w Instytucie Zachodnim, 61-772 Poznań, Stary Rynek 78/79 (także za pobraniem pocztowym)

